Nr. 31. Sobota dnia 2-go sierpnia 1913.

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę dwunastą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z drugiego listu świętego Pawła do Koryntyan, rozdział III, wiersz 4—9.

Bracia! mamy takie ufanie w Bogu przez Chrystusa, nie iżbyśmy byli dostateczni sami z siebie co myślić, jako sami z siebie, ale dostateczność nasza z Boga jest: który też uczynił nas godnymi sługami nowego testamentu nie literą, ale Duchem: bo litera zabija, a Duch ożywia. A jeślić posługowanie śmierci literami wyrażone na kamieniach, było w chwale, tak, iż synowie Izraelowi nie mogli patrzeć na oblicze Mojżeszowe, dla chwały oblicza jego, która niszczeje; jakoż nie więcej posługowanie ducha w chwale będzie? Bo jeśli posługowanie potępienia jest chwałą, daleko więcej posługowanie sprawiedliwości obfituje w chwale.

EWANGELIA

u św. Łukasza rozdział X, wiersz 23—37.

Onego czasu rzekł Pan Jezus uczniom Swoim: Błogosławione oczy, które widzą to, co wy widzicie. Bo powiadam wam, iż wiele Proroków i Królów żądali widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli; i słyszeć, co słyszycie, a nie słyszeli. A oto niektóry w zakonie powstał, kusząc Go, mówiąc: Nauczycielu, co czyniąc dostąpię żywota wiecznego? A On rzekł do niego: W zakonie co napisano? jakó czytasz? A on odpowiadając, rzekł: Będziesz miłował Pana Boga twego, ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkich sił twoich, i ze wszystkiej myśli twojej, a bliźniego twego, jak siebie samego. I rzekł mu: Dobrześ odpowiedział: to czyń, a będziesz żył. A on chcąc się sam usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: A któż jest mój bliźni? A przejąwszy rzecz jego Jezus, rzekł: Człowiek niektóry zstępował z Jeruzalem do Jerycha, i wpadł między zbójce, którzy go złupili, i rany mu zadawszy, odeszli, na poły umarłego zostawiwszy. I przydało się, że niektóry kapłan zstępował tąż drogą, a ujrzawszy go, minął. Także i Lewita, będąc podle onego miejsca i widząc go, minął. A Samaryatn niektóry jadąc, przyszedł ku niemu i ujrzawszy go, ulitował się. A przystąpiwszy, zawiązał rany jego, nalawszy oliwy i wina; a włożywszy go na bydlę swoje, wprowadził do gospody, i miał pieczą o nim. A nazajutrz, wyjąwszy dwa srebrne grosze, dał gospodarzowi, i rzekł: Weźmij go na swą opiekę; a cokolwiek nadto wydasz, ja gdy się wrócę, oddam tobie. Któryż z tych trzech zda się tobie bliźnim być onemu, co wpadł między zbójce? A on rzekł: Który uczynił miłosierdzie nad nim. I rzekł mu Jezus: Idźże, i ty czyń podobnie.

NAUKA.

Kto jest naszym bliźnim.

„Idźże i czyń podobnie".

Pójdźmy wszyscy i czyńmy podobnie, jak uczynił ów Samarytanin. Co za dobre serce u niego, co za dusza szlachetna. Ledwie zobaczył krwią zbroczonego człowieka przy drodze, zaraz się nad nim lituje. Zaraz mu obwiązuje rany, oliwy i wina zaraz do nich nalewa, wsadza go też na bydlę swoje i do gospody odwozi i ma pieczę o nim. Co za poczciwe serce u tego Samarytanina! — Nie dość tego. Nazajutrz, kiedy mu przyszło jechać w dalszą drogę, oddaje go troskliwej opiece gospodarza gospody, daje mu nawet dwa grosze, a prosi go, mówiąc: „Miej staranie o nim, a cokolwiek nadto wydasz, ja, gdy się wrócę, oddam tobie". Powraca więc jeszcze do tej gospody, aby się przekonać, jak się ma ten nieszczęśliwy, co wpadł między zbójców. Co to za dusza szlachetna, poczciwa, miłosierna, ten Samarytanin! Żeby to i między nami katolikami takich jak najwięcej znaleźć. Nie byłoby głodnych wtedy, nie byłoby nagich pomiędzy nami, łez tyle nie płynęłoby z oczu nieszczęśliwych.

Niechże więc ten Samarytanin będzie nam przykładem jak kochać bliźniego.

A któż jest naszym bliźnim? — Św. Jadwiga, księżna polska, wielkie serce miała dla ubogich. Choć to księżna, a sadzała ich przy swoim stole, razem z nimi jadała nawet. Pewnego razu za jej czasów powstał głód wielki u ludzi, cóż wtedy czyni ta Święta? Każe obwołać na wszystkie strony, aby się każdy kwapił do jej wsi, gdzie było wiele zboża w spichlerzu, i brał sobie żywność potrzebną. Oto jej bliźni: ci ubodzy, ci nędzni, ściśnieni głodem. Choć to księżna, pani więc wielka, a tych, od świata wzgardzonych, za bliźnich swoich, za braci, za siostry swoje uważa. Przyjmuje ich nawet u siebie, przy stole swoim zasadza.

A dla ciebie któż jest bliźnim twoim? Nazywają cię kmieciem, boś zamożny, bogaty. Czy więc ten żebrak, co do ciebie po jałmużnę przychodzi, jest twoim bliźnim? Albo ten komornik, ten zagrodnik, czy jest bliźnim twoim? Żeby tak było, jakoś tego nie widać, choć ten komornik mieszka zaraz za twoją ścianą. Tak i na chrzcinach, tak na ucztach innych komornika, zagrodnika u ciebie nie widać. Bo w oczach twoich kmieć tylko jest bliźnim twoim, że równie jak ty bogaty. Cóż na to powie ci kiedyś Pan Jezus, który wszystkich nas umiłował jednako?

Któż jest bliźnim naszym? — Z całą miłością serca swojego lubiła św. Kunegunda, księżna polska, usługiwać chorym. Nie dość, że im prześcielała łoże, nie dość, że ich karmiła, wrzody jeszcze i rany ich obmywała starannie, własnemi rękami. Jadąc raz z Korczyna ku Pacanowu, spotkała trędowatego, którego wszyscy mijali, jak i tamtego,

co wpadł między zbójców. Ona zaś wzięła go na wóz, do siebie przywiozła, i pielęgnowała w chorobie.

Cóż ty na to mówisz? Zdaje mi się, że podziwiasz nie mało wielkie miłosierdzie tej Świętej, że się nie brzydziła nawet trędowatym. Nie brzydziła się nim, uważała go bowiem za swego bliźniego. A u ciebie czy tak samo jest? Oto własna ci żona ciężko zaniemogła. Mija jeden, drugi, trzeci miesiąc, a ona z łoża boleści nie może się jakoś podźwignąć. Ale tobie już tej choroby za wiele, więc zaczynasz się krzywić, od czasu do czasu i słowo ostre rzucisz żonie swojej. Aż i serce twoje całkiem się od niej odwraca, że radbyś i nie patrzeć na nią. Jak długo służyło jej zdrowie, byłeś dla niej przyjaznym, jak to dla bliźniego przystoi, a teraz bliźnim twoim ona już nie jest, że chora i chora. Czy tak wszelako Pan Jezus naucza? czy tak naucza katechizm? Czy tylko zdrowy jest naszym bliźnim, chory zaś do bliźnich nie należy?

Któż jest bliźnim naszym? — Św. Jan, Apostół, puścił się raz w niedostępne góry i lasy za jednym młodzieńcem, który Boga zupełnie odstąpił. Był to młodzieniec, którego ten Święty wybrał z pośród innych i szczególniejszą opieką otoczył. A oto z grzechu wpadał on w grzech, aż i do bandy rozbójników przystał, został nawet ich hersztem. Dowiedział się o tem Jan święty i puścił się za nim na koniu, aby go odszukać i do poprawy nakłonić. I stało się, że wpadł w ręce tej bandy, że go przed herszem stawiono. A ten, ujrzawszy św. Jana, zawstydził się najpierw niezmiernie, a potem począł uciekać. Św. Jan pędzi za nim i woła: „synu, nie uciekaj przed ojcem twoim, przed starcem bezbronnym. Zlituj się nade mną, nie bój się, jeszcze i dla ciebie jest nadzieja zbawienia". Jakoż herszt przystanął, oczy ze wstydu w dół spuścił i zaczął gorzko płakać. Wnet potem rzucił się na szyję Świętego, gorąco go prosząc o przebaczenie. Ale i Jan św. do nóg jego się rzucił, ręce jego całował, zapewniając go, że mu Pan Jezus przebaczy. Zabrał go potem ze sobą. Odtąd już żył on w pokucie i w pokucie żywota dokonał.

Tak więc i młodzieniec ten, grzesznik tak wielki, był jeszcze bliźnim św. Janowi. On kochał go, jak siebie samego, jak dla siebie tak i dla niego pragnął on zbawienia.

Jestże i u nas taka dla grzeszników miłość? Chyba ze świecą jej szukać. Zazwyczaj bowiem patrzymy całkiem obojętnie na braci naszych grzeszących, nic zgoła nie czyniąc, aby ich jako poprawić. Kiedy się o dobro doczesne bliźniego rozchodzi, nie skąpimy wtedy rad i upomnień; kiedy zaś dobro jego wieczne w niebezpieczeństwie, milczymy naonczas zwyczajnie. Tonie ktoś, a z wody go wyciągasz, dom sąsiada gore, a spieszysz z ratunkiem, a gdy dusza bliźniego w nieprawościach tonie i na wieczny naraża się ogień, nie ratujesz jej wcale, jakby ten grzesznik nie był twoim bliźnim. Na to też żali się św. Bernard, i mówi: „upadnie zwierzę, a zawsze ktoś z pomocą przybiega, a kiedy dusza jest w niebezpieczeństwie zguby wiecznej, chrześcianie nie wstydzą się mówić: „Co mnie do tego, co mnie do tego". Jak gdyby grzesznik nie był naszym bliźnim.

Któż jest bliźnim naszym? — Antoniusz niejaki, poganin, wrogiem był św. Chryzostoma zawziętym bardzo. Gdzie jeno mógł szarpał sławę jego, jak mógł, tak mu dokuczał. Przyszła też kara Boża na niego, zły duch go opętał. Dowiaduje się o tem św. Chryzostom, idzie doń, modli się nad nim i złego ducha z niego wypędza. I do Chrystusa jeszcze go potem nawrócił. Tak wiele łask wyświadczył on największemu swemu wrogowi. Bo i swoich wrogów uważał ten Święty za swoich bliźnich, więc im dobrze czyni.

Ale na tobie to się nie pokaże podobno. Bliźnim swoim nazwiesz chyba każdego, lecz nieprzyjaciela od tego wykluczysz. Nie prawdaż? Jakto? tybyś dobrze miał czynić takiemu, co cię prześladuje, na zgubę twą czyha? I tacy jednak to nasi bliźni. Alboś nie słyszał, co mówi Pan Jezus: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, módlcie się za prześladujące i potwarzające was" (Mat. 5, 44).

Któż więc naszym jest bliźnim? Każdy człowiek: i ten, co nam źle czyni; i ten, co się cały w grzechach zanurza; i ten, którego ciężka choroba przygniata, ale i ten żebrak ostatni, oto bliźni nasz. Czemuż to? bo jest dzieckiem Boga, bo z tobą zarówno obraz Boży nosi na sobie, bo do nieba jest przeznaczony. Więc kochaj go, jak samego siebie.

Jakże ty siebie kochasz? Tak oto, że nie życzysz sobie, żeby ci ktoś podbijał oczy, albo szkodę robił na polu, albo z komory cokolwiek wynosił, drzewka łamał w ogrodzie, owoce obrywał, albo szarpał twą sławę. Ty sobie tego nie życzysz, nie czyńże tego i drugim. Rozumiesz?

Jakże ty siebie kochasz? Tak oto, że pragniesz, aby cię nakarmiono w głodzie, w nagości odziano, przenocowano w podróży. Radbyś też, aby cię sąsiad w chorobie nawiedził, w smutku pocieszył, poratował w potrzebie. Jeszcze radbyś zapewne, aby ludzi jak najwięcej szło kiedyś za twoją trumną na cmentarz, a po śmierci aby się modlono za duszę twoją.

Idźże więc i czyń podobnie. Czyń podobnie, jak czynił ów Samarytanin, a zapewnisz sobie skarb w niebie, gdzie ani rdza, ani mól nie psuje, i gdzie złodzieje ani wykopują, ani kradną (Mat. 6, 20). Amen.

RACHUNKI.

KARTKA Z PAMIĘTNIKA.

Postać mojej ciotki najwyraźniej się rysuje na tle mych młodzieńczych wspomnień; jej dobroduszna surowość niezatarte ślady pozostawiła w mym charakterze. U niej po śmierci rodziców znalazłem ukojenie; przyjęła mnie za syna i jak syna pokochała. Tylko prosiła zaraz na wstępie, żebym jej z góry wybaczył wszelkie przykrości, jakie przyjdzie mi znosić z powodu jej żywego temperamentu. Wkrótce też dała mi tych przykrości próbkę.

Chociaż już od roku studyowałem prawo, jako student uniwersytetu, ciotka jednak nie chciała mi przyznać, że umiem dodawać, odejmować, mnożyć i dzielić, czyli cztery najprostsze działania. Ile razy bowiem przyszło mi zrobić jaki rachunek: czy to sprawdzić wydatki z kucharką, czy obliczyć, ile się praczce należy — prawie zawsze robiłem jakąś omyłkę.

— Cóż u Boga! — gniewała się wówczas ciotka — czego cię uczyli w szkołach? Uczysz się i uczysz, a głupich kilku złotych zrachować nie potrafisz.

Próżno wtedy zwracałem jej uwagę, że widać liczby, które mi dyktowała, nie były jednego gatunku, że widać jedne oznaczały grosze a drugie kopiejki

(w czem ciotka ciągle się myliła), że zatem suma musi być zawsze błędną; o niczem jednak nie chciała słyszeć, była nieubłaganą. Gdy odrazu rachunek się nie udał, wszelkie sprawdzanie i poprawianie gniewało ją niezmiernie.

— To tylko nieszczęście, że ja niedowidzę — narzekała zadąsana — nie potrzebowałabym cię fatygować... Jeszcze, jak na złość, okulary mi się gdzieś zawieruszyły.

Że zaś te nieszczęsne okulary zawsze ginęły, musiałem więc często słuchać narzekań na władzę szkolną, która takiemu nieuczkowi dała z arytmetyki stopień dobry i świadectwo dojrzałości.

— Bo też proszę ja ciebie — zwróciła się raz ciotka do praczki — żeby takiego głupiego rachunku nie mógł zrobić człowiek, który całe życie nic innego nie robi, tylko się uczy a uczy! Toć przecież skończył gimnazyum, i teraz chce mu się zostać adwokatem, a nie umie prostego dodawania...

Praczka, pomimo tak przekonywających dowodów, jakoś niedowierzająco się uśmiechała, ciekawie spoglądając na mnie; snać słowa ciotki wzięła za żart. Widząc, że poczciwą ciotkę wszelkie ekskuzy irytują, zaniechałem usprawiedliwień, przeciwnie chcąc ją ułagodzić, spróbowałem nawet utwierdzić w przekonaniu co do mego niedołęstwa matematycznego.

— Widzi ciocia — odezwałem się raz — jak to dobrze, żem poszedł na prawo: adwokatem mogę być jakim takim, a matematykiem byłbym Panie Boże odpuść!

Podobała się jej moja skromność.

— No, no — mówiła hamując uśmiech — tylko nie kręć po swojemu, nie mędrkuj, nie filozofuj ale rachuj poprostu, jak my starzy, mało uczeni, to i tobie suma wypadnie jak należy...

Takie i tym podobne sceny powtarzały się bardzo często, gdyż ciotka nawet kilkogroszowe wydatki dawała mi do przejrzenia; skromna bowiem emerytura jaką pobierała po śmierci męża, zmuszała ją rachować się z każdym okruchem. Nie dowierzając swej pamięci osłabionej kłopotami sześćdziesięcioletniego życia, udawała się do mnie z wszelkiemi pieniężnemi interesami. Wreszcie dla łatwiejszego zoryentowania się w swojem finansowem położeniu kazała mi zapisywać wszelkie wydatki w przeznaczonym na ten cel dzienniczku.

Co tylko kupiła, notowała zaraz, żeby nie zapomnieć; nieraz cały bok szafy kuchennej był zamazany cyframi, których później sama nie mogła odczytać. Musiałem i za to odpowiadać.

Nie mogąc sobie czego przypomnieć, występowała zwykle do mnie z urazą.

— Cały dzień cię nie ma w domu — gderała, srożąc minę — a ja do wieczora zapominam, ile na co wydałam!

Lecz cóż było robić, korepetycye tak mi czas zajmowały, że zaledwie wieczorem miałem chwilę wolną. Wiedziała o tem ciotka, ale kiedy te rachunki dokuczały biedaczce!

Widząc jej męczarnie, starałem się odwieść ją od tej codziennej buchalteryi, radząc sprawdzać tylko wtedy, gdyby miała jaką poważniejszą wątpliwość. Oburzyła się na tę propozycyą.

— Niech wiem jak stoję! — odpowiadała mi stanowczo.

Był to argument, którego zawsze używała, ilekroć ktokolwiek usiłował odwieść ją od rachunkowego mantyctwa. Tym argumentem podcinała i moje perswazye, które podsuwałem jedynie przez troskliwość o zdrowie i spokój czcigodnej kobiety; przytem tak dalece czułem gruntowność jej zasady, że bez szemrania, prawie z zamiłowaniem pełniłem czynność buchaltera domowego. Spisywałem skrzętnie najdrobniejsze pozycye bieżących sprawunków.

Pewnego wieczora kazała mi ciotka zapisać w wydatkach 40 groszy, wyraźnie czterdzieści, nie wymieniwszy, na co je wydała.

— A na co wydane, ciociu? — zapytałem już po raz drugi, dotknąwszy piórem papieru.

Ale ciotka odpowiedziała mi rozkazująco:

— Pisz czterdzieści groszy i nie pytaj więcej!

Nie zaraz jej usłuchałem; tajemnicza ta bezimienność pozycyi zdziwiła mię niezmiernie. Zauważyła to ciotka.

— No, czego się gapisz? — zawołała, przedrzeźniając moje zdumienie — pisz i basta... Napisz zresztą kreskę... już ja będę wiedziała, co ona znaczy.

Zasmucił mię ten brak zaufania ze strony ciotki, chociaż to w takiej bagateli. Dotąd nigdy nie ukrywała niczego przedemną, zawsze mi się ze wszystkiem zwierzała i niekiedy, pomimo mojej tępej głowy do arytmetyki, radziła się, jak w danym wypadku postąpić — a teraz...

— Mój Boże! skąd ta zmiana — rozmyślałem — możem ją czem obraził?

Tak mię to niecierpliwiło, że nieraz, nie śpiąc do późna, szukałem pilnie przyczyny tego niedowierzania, powtarzając sobie co do słowa ostatnie nasze rozmowy. Doprawdy nigdy bym nie przypuścił, że mi tak wiele wyrządzi przykrości taka drobna nieufność.

Zaciekawienie moje wzrastało, skoro od dnia tego codziennie ukrywała ciotka przedemną tenże sam wydatek. Klinem w głowie siedziało mi pytanie: na co ciotka może wydawać te czterdzieści groszy? Długo nie śmiałem pytać ją o wytłómaczenie, dopiero coś po roku, w dzień jej imienin, pierwszy raz odważyłem się poprosić ją o rozwiązanie mi tej zagadki.

Ciocia była wtedy jakoś w dobrym humorze, niezwykle ożywioną i usposobioną do zwierzeń. Gdy właśnie skończyła opowiadać o swoich rodzicach, o swojem dzieciństwie, o zmarłym mężu — całując ją w rękę, zapytałem nieśmiało:

— Moja ciociu, tak mię ciocia rozpieściła swojem zaufaniem, że najmniejsza jej tajemnica martwi mnie, dokucza boleśnie... Ciocia wie, o czem chcę mówić... o tym tajemniczym wydatku, o tej kresce!...

Uśmiechnęła się, ale nagle uśmiech znikł z jej ust, brwi się ściągnęły, twarz przybrała wyraz powagi.

— Dowiesz się w listopadzie — rzekła, powstając.

Musiałem poprzestać na tej odpowiedzi. Czekałem. Niespodziewane wypadki skierowały całą moją uwagę w inną stronę: listopad dotkliwie dał się uczuć chorej na piersi ciotce, ciężko zapadała kilka razy na zdrowiu.

Pierwsze zatem przymrozki powitaliśmy z radością. Zaledwie na Nowy Rok, gdy kłopoty i zmartwienia minęły, spróbowałem przy życzeniach noworocznych upomnieć się o wyjawienie mi tajemnicy, ale i tym razem otrzymałem starą odpowiedź.

— Dowiesz się w marcu — odrzekła również lakonicznie.

Widocznem było, że ciotka w ten sposób chce tylko zbyć natręta; domyślałem się, że mówi o swej śmierci, zaniechałem przeto wszelkich pytań. Wtem ciotka zachorowała niebezpiecznie, musiała położyć się do łóżka, doktor zabronił wychodzić z mieszkania.

Zmuszoną była powierzyć nakoniec swe gospodarstwo w ręce „obcej dziewczyny”, jak określała zwykle służącą. Niechęć jej do wszelkiej pomocy około domowego ogniska była niekłamaną, dlatego też choroby lękała się bardzo... O ile tylko pozwalały siły, starała się i teraz zachować dawną energię; despotycznie ograniczała atrybucye służącej i chociaż nie wstawała z łóżka, rachunki jednak prowadziliśmy nieprzerwanie i nie przestawała mi wciąż dalej dyktować tajemniczego wydatku. Domyślałem się, że służąca musi o nim wiedzieć, gdyż ona tylko sama chodziła do miasta; postanowiłem zatem bądź-co-bądź ją wybadać, gdyby była wtajemniczoną a zmuszoną do milczenia.

W tym celu, zaczaiwszy się na korytarzu, przytrzymałem ją, gdy wracała z miasta.

— Marysiu! — szepnąłem uprzejmie — zaczekaj...

Ładna dziewczyna, uśmiechając się, przystanęła.

— Ależ nie — przeczyłem zakłopotany, sam nie wiedząc co mówię — ja tylko chciałem się dowiedzieć, coś ty dzisiaj kupowała w mieście, bo...

— Jakto? — przerwała mi służąca, zasępiwszy się nagle — przecież wyliczyłam się co do grosza!...

— Kiedy tu nie o to chodzi — mówiłem już niecierpliwie — ja wiem, ja pamiętam, ileś wydała, ja nie chcę cię kontrolować, tylko chciałbym się dowiedzieć, coś ty dzisiaj kupiła w mieście za czterdzieści groszy?

Dziewczyna się zamyśliła.

— Za czterdzieści groszy — podchwyciła nagle — a to już wiem, to mięso...

— Ej Marysiu, tylko ty mię nie oszukasz! — zawołałem, badawczo patrząc jej w oczy, i porwawszy zdziwioną za ręce, zaklinałem na wszystko: — Marysiu, powiedz mi szczerze, powiedz, czy ci ciotka nie kazała ukrywać czego przedemną, przyznaj się, moja droga, bo ty wiesz, na co ciotka wydaje te czterdzieści groszy...

Spojrzawszy jednak na wystraszoną twarz dziewczyny, dałem jej spokój. Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu, taką miała minę zabawną.

— No masz tu na szpilki — rzekłem, dając jej jakiś pieniądz — a nie piśnij nikomu o naszej rozmowie ani słówka, pamiętaj!...

Było to już ostatnie moje usiłowanie; wkrótce zapowiedziała mi ciotka, że już nie będę zapisywał owych czterdziestu groszy. Zaniepokoiło to mię niezmiernie, bo mówiąc o tem, droga ciotka była smutną i zamyśloną. Daremnie jednak usiłowałem odgadnąć przyczynę.

— Czyby zwiększone wydatki: na doktora, służącą i lekarstwo zmusiły ciotkę odmawiać sobie tej wygody... lecz jakiej wygody? — pytałem siebie.

Pomimo to, żem się niczego domyślić nie mógł, wmówiłem w siebie, że biedna kobieta musi sobie czegoś odmawiać i postarałem się o nową korepetycyą. Zmuszony przecież byłem oddać ją zaraz koledze, gdyż skoro tylko ciotka spostrzegła, że od kilku dni przychodzę później jak zwykle, domyśliła się powodu. Irytowała ją bardzo ta „samowola smarkacza”.

— Proszę cię porzuć mi zaraz tę nową lekcyą — mówiła surowym tonem — nie marnuj zdrowia! Teraz toś zuch, a jak ci przyjdzie chorować albo umierać, to będziesz desperował... Zresztą... czy nam znowu tak bardzo pieniędzy potrzeba?...

I namarszczona, słowa więcej nie przemówiła do mnie tego wieczora; wielką to karą było dla mnie, tak przyzwyczaiłem się do codziennych z nią gawęd, do jej despotycznych uwag i napomnień, że wszelkie jej milczenie trapiło mnie. Zrzekłem się tedy zdobytej lekcyi bez najmniejszego wahania. Kiedyindziej próbowałbym może przekonywać ciotkę o niemożebności porzucenia tak prędko dobrowolnie podjętego zobowiązania, ale teraz chorą niecierpliwić oporem uważałem za niegodziwość. Biedna ciotka! ona tak cierpiała. Choroba się wzmagała: męczący kaszel zwiększał się z dniem każdym, tak dalece, że już później i rachunków nie mogliśmy prowadzić dokładnie.

Niedługo trwała ta męczarnia — droga, czcigodna moja opiekunka opuściła mnie wkrótce. Okropna to była chwila w mojem życiu, pogodny, cichy jej zgon wstrząsnął mną do głębi — czułem, że straciłem w niej drugą matkę. Śmierć jej taką pustką mnie owiała, żem stracił na chwilę wszelką ochotę do życia.

Tęskniłem za jej dobrodusznem gderaniem, za naszemi rachunkami, które zachowałem sobie na pamiątkę. Mały dzienniczek, dowód zadziwiającej wytrwałości ciotki, nie odstępował mię odtąd — leżał zawsze na biurku przede mną. Gdy tylko miałem chwilę swobodnego czasu, przerzucając małe jego stronniczki, zastanawiałem się nad całem życiem drogiej mi istoty, którą te cyfry martwe żywo mi przypominały. Jedna tylko wpośród nich tajemnicza kreska drażniła mię nieustannie, budząc na dnie serca ukryty cień bezimiennej urazy.

Usilnie starałem się i teraz wytłómaczyć sobie ten brak zaufania — zawsze jednak naprożno...

Zagadkę rozwiązał kto inny; rozwiązał tak dziwnie, tak niespodziewanie!

W kilka miesięcy po śmierci ciotki, późno już wieczorem, do mojego pokoiku na czwartem piętrze weszła staruszka szczupła, niskiego wzrostu, z uprzejmym uśmiechem na ustach. Bliżej przypatrzywszy się poznałem w niej dawną naszą sąsiadkę, serdeczną przyjaciółkę ciotki.

Nie omyliłem się.

— Czy pan sobie mnie nie przypomina? — zapytała, szukając czegoś w swej torebce, zawieszonej na ręku. — Byłam waszą sąsiadką. Powróciłam właśnie z prowincyi, od chorej ciotki i przychodzę z tym oto interesem...

Tu podała mi paczkę różnej wartości papierków bankowych.

— Jakto, proszę pani — pytałem — co te pieniądze znaczą?

— Jest tu sto rubli — odpowiedziała — składała je u mnie ciotka pańska, żeby panu dopomódz do rozpoczęcia karyery. Chciała, jak mi mówiła, uzbierać więcej, lecz choroba nie pozwoliła na to...

Uczułem przyspieszone bicie serca. Od razu wszystko zrozumiałem — tajemnicza kreska przemknęła mi przed oczyma.

— Więc to dla mnie składała codzień te czterdzieści groszy! — zawołałem wstrząsany różnemi uczuciami...

Poczciwa ciotka, jak ona kochała swego nieuka!

Rozwiązanie łamigłówki krzyżykowej

z Gościa Świątecznego nr. 27:

Hyena, Jerzy, ranek, Klara, narty, Troki, pasza, miecz, Edwin, żmija, Osika, Tatry, trawa, środa, drzwi, tkacz, indyk.

HENRYK SIEMIRADZKI.

Rozwiązanie nadesłali: A Donder z Frydenshuty, Józef Płaczko z Dziergowic i A. Kozidło z Zabrza. Wszyscy trzej otrzymali nagrodę.